

Z DRUGIEJ STRONY ODRY

XII Rohkunstbau – szczególny przypadek sztuki

Susanne Lambrecht

Chciałoby się przeczytać tę historię – historię na pozór zwariowanego, ale jednak chyba chwytliwego pomysłu, historię projektu, który rozpocząwszy się kiedyś od drobiazgu spotkał się później z uznaniem. Krótka historia sukcesu i powodzenia.

ROHKUNSTBAU, wydarzenie artystyczne w zamku w Groß Leuthen, odbywa się tego lata po raz dwunasty. W tym miejscu należy krótko opowiedzieć historię jego sukcesu, co niniejszym czynimy: Było sobie kiedyś dwóch studentów, jeden studiował historię sztuki, drugi medycynę. Nie byli przekonani, co do wrzawy czynionej w Berlinie wokół sztuki, jednakże zachwyceni sztuką jako taką, podjęli własną inicjatywę. Kai-Uwe Rettig i Arvid Boellert znaleźli z gruntu genialne miejsce wystawowe, mianowicie ogromną halę, zbudowaną w roku 1989 przy wjeździe do Groß Leuthen jako miejsce uroczystości i świąt robotniczych. Hala pozostała w stanie surowym, nigdy nie była używana stając się dzięki temu symbolem przetrwanej historii kultury. Teraz dwaj entuzjaś-

XII. Rohkunstbau – Ein Kunst-Event der besonderen Art

Susanne Lambrecht

Man liest sie gerne – die Geschichte von einer verrückt erscheinenden Idee, die zum tragenden Konzept wird, die Geschichte von einem Projekt, das einmal klein anfing und dann weit hin Anerkennung findet. Kurz die Geschichte von Erfolg und Gelingen. ROHKUNSTBAU, das Kunstereignis im Schloss von Groß Leuthen, findet diesen Sommer zum zwölften Mal statt. Und man ist geneigt, hier von einer Erfolgsgeschichte zu sprechen, die hier kurz erzählt sei: Es waren einmal zwei Studenten, einer studierte Kunstgeschichte, der andere Medizin. Vom Kunstrummel in Berlin keinesfalls überzeugt, aber von Kunst begeistert, entschließen sie sich zur Eigeninitiative. Kai-Uwe Rettig und Arvid Boellert finden einen im Grunde genialen Ausstellungsort, nämlich eine riesige Halle, die 1989 am Ortseingang von Groß-Leuthen für die Arbeiterfestspiele errichtet worden war. Die Halle blieb Rohbau, war nie genutzt worden und damit Sinnbild einer abgebrochenen Kulturgeschichte.

Nun wurde sie mit Kunst bespielt von zwei Kunstenthusiasten, die von A-Z alles selbst organisierten.

Der Anfang war bedächtig. Am 1. und 2. September 1994 fand die erste ROHKUNSTBAU-Ausstellung statt u.a. mit Sylvia Mattes und dem Zeichenkreis Lübben, also lokalen Künstlern. Bereits im zweiten Jahr hatte sich das für ROHKUNSTBAU typische Konzept herauskristallisiert: die Ausstellung im Spätsommer sollte bildende Kunst und Theater verbinden, eine strategisch überzeugende Kombination, denn durch das Theaterstück lockten Boellert und Rettig Kunstinteressierte in den abgelegenen Ort, die zugleich auch die Kunstausstellung besuchten. 1995 und in den Folgejahren wurden Künstler aus der weiteren Region von Eckhard Böttger, Daniel Sambo-Richter, Matthias Körner über Hans-Georg Wagner bis zu Dieter Zimmermann gezeigt. Schon im dritten Jahr kamen internationale Künstler dazu. Für das sechste ROHKUNSTBAU-Projekt musste dann, da die Betonhalle nicht mehr zur Verfügung stand, ein neuer Standort gefunden werden und ROHKUNSTBAU zog ins Schloss von Groß Leuthen. Mit neuem Ambiente und in einem neuen historischen Kontext richtete sich das weiterhin experimentell operierende Kunst-Event ein.

Das Schloss besteht im Kern aus einer dreiflügeligen Anlage aus dem 16. Jahrhundert. Anfang des 20. Jahrhundert war es von Johann Abraham von Wülffing erworben worden, einem Chemiefabrikanten, der in Berlin mit der Herstellung von Milchzucker und Milcheiweißprodukten ein Vermögen gemacht hatte. Er ließ das Schloss nicht nur restaurieren, sondern erweiterte es um einen repräsentativen, Holzgetäfelten Eingangsbereich, Gesellschaftsräume mit Blick auf die breit angelegte Terrasse und den sich davor ausbreitenden See. Markant ist bis heute der sechsgeschossige Wohnturm. Zu DDR-Zeiten wurde das Schloss zuerst als Waisenhaus, später als staatliches Kinder-

ci ożywili ją sztuką organizując wszystko samodzielnie od A do Z.

Początki były ostrożne. Pierwsza wystawa w ROHKUNSTBAU z udziałem między innymi Sylvii Mattes i koła rysunkowego z Lübben, czyli twórców lokalnych odbyła się pierwszego i drugiego września 1994 roku. Koncepcja działalności ROHKUNSTBAU wykrystalizowała się już w drugim roku istnienia: wystawa odbywająca się późnym latem miała łączyć w sobie sztuki plastyczne i teatr, ze strategicznego punktu widzenia kombinacja przekonująca, gdyż do położonego na uboczu miejsca Boellert i Rettig przyciągali przedstawieniami teatralnymi ludźmi zainteresowanych sztuką, którzy przy okazji zwiedzali wystawę. W roku 1995 i w latach następnych wystawiano artystów z dalszych regionów, począwszy od Eckharda Böttgera, Daniela Sambo-Richtera, Matthiasa Körnera poprzez Hansa-Georga Wagnera aż po Dietera Zimmermanna. Już w trzecim roku działalności do projektu dołączyli artyści zagraniczni. Na szósty projekt ROHKUNSTBAU organizatorzy nie dysponowali już dotychczasową betonową halą, należało więc znaleźć nowe miejsce, ROHKUNSTBAU wprowadziła się do zamku w Groß Leuthen. W nowym otoczeniu i w nowym kontekście historycznym powstawał nadal bazujący na eksperymencie przypadek sztuki.

W swym centrum zamek to trzyskrzydłowa budowla z szesnastego wieku. W początkach dwudziestego wieku przeszedł w ręce Johanna Abrahama von Wülffinga, fabrykanta chemicznego, który ogromnie się wzbogacił wytwarzając w Berlinie laktozę i produkty z białka mlecznego. Von Wülffing nie tylko odrestaurował zamek, ale rozbudował go również o wyłożone drewnem reprezentacyjne wejście, salony z widokiem na szeroki taras i rozciągające się stąd jezioro. Do dziś charakterystycznym elementem pozostała sześciopiętrowa wieża mieszkalna. W czasach NRD zamek pełnił początkowo rolę

sierocińca, później państwowego domu dla dzieci i młodzieży, aż w końcu, po przełomie, tę w sumie bardzo dobrze zachowaną posiadłość przekazano w ręce fundacji „Großes Waisenhaus zu Potsdam” (Duży Dom Dziecka w Poczdamie). Teraz, od lat, każdego roku w okresie wakacyjnym, fundacja wynajmuje ROHKUNSTBAU sale, położone na trakcie jeziornym. Wyjaśnwszy problem sal, należało wyjaśnić również kwestię prawną przedstawicielstwa. Do współpracy pozyskano Instytut Społeczno-Pedagogiczny Berlin-Brandenburg, z którym od tej pory co roku przeprowadzany jest artystyczno-pedagogiczny projekt dla dzieci.

Przed pięciu laty wyłączną odpowiedzialność za ROHKUNSTBAU przejął na siebie Arvid Boellert. Ten pracujący w Berlinie jako okulista miłośnik sztuki zrozumiał, że ogromne zadania organizacyjne, merytoryczne i projektowe należy przekazywać krok po kroku różnym grupom roboczym lub rozdzielać je na różne barki. Jako dyrektor artystyczny Boellert początkowo osobiście zajmował się zarówno doбором artystów jak i sztuk teatralnych, wystawianych w sobotnie wieczory, później dobrał sobie pomocników: od ubiegłego roku przy organizacji wystaw współpracuje z londyńskim historykiem sztuki Markiem Gisbournem, pełniącym funkcję „kuratora seniora”. U swego boku postawił również Maxa Schuhmachera, teatrologa i reżysera, powierzając mu funkcję kuratora festiwalu do spraw weekendowych imprez towarzyszących i odpowiedzialność za kino pod gołym niebem, gościnne występy teatralne, koncerty i odczyty.

Nie zmieniła się koncepcja wystaw; Arvid Boellert twardo trzyma się pierwotnego pomysłu wystawiania młodych, nieznanych artystów w połączeniu z renomowanymi kolegami po fachu, co z punktu widzenia promocji jest strategią bardzo skuteczną. W minionych latach projekt ROHKUNSTBAU postawił sobie na celu przedstawienie swego profilu działalności

und Jugendheim genutzt, bis das insgesamt recht gut erhaltene Anwesen dann nach der Wende an die Stiftung „Großes Waisenhaus zu Potsdam“ überging. Die Räume im zum See hin gelegenen Trakt vermietet die Stiftung nun seit Jahren jeden Sommer an ROHKUNSTBAU. Nachdem die Raumfrage geklärt war, musste auch die rechtliche Seite durch eine Trägerschaft geklärt werden. Gewonnen werden konnte hierfür das Sozialpädagogische Institut Berlin-Brandenburg, mit dem zusammen nun jährlich auch ein kunstpädagogisches Projekt für Kinder durchgeführt wird.

Vor fünf Jahren hat Arvid Boellert die Alleinverantwortung für ROHKUNSTBAU übernommen. Der in der Zwischenzeit in Berlin als Augenarzt arbeitende Kunstliebhaber hat es verstanden, die umfangreichen organisatorischen und auch inhaltlich-planerischen Aufgaben schrittweise an verschiedene Arbeitskreise zu delegieren bzw. auf mehrere Schultern zu verteilen. Während Boellert anfangs als künstlerischer Leiter persönlich sowohl die Auswahl der Künstler traf als sich auch um das Theaterprogramm kümmerte, das an den Samstagabenden aufgeführt wurde, holte er sich in der Zwischenzeit für beide Bereiche Unterstützung: seit vergangenem Jahr arbeitet er im Ausstellungsbereich mit dem Londoner Kunsthistoriker Mark Gisbourne zusammen, der als „Senior Kurator“ fungiert. Für das begleitende Wochenendprogramm hat er sich Max Schumacher, Theaterwissenschaftler und Regisseur, als Festival-Kurator an seine Seite geholt, der damit für Openair-Kino, Theatergastspiele, Konzerte sowie Lesungen zuständig ist.

Was die Ausstellungsidee angeht, hat Arvid Boellert an dem ursprünglichen Konzept von ROHKUNSTBAU fest gehalten, junge unbekannte Künstler zusammen mit renommierten Künstlerkollegen zu zeigen, was werbemäßig gesehen eine wirksame Strategie ist. In den vergangenen Jahren hat das Projekt ROHKUNSTBAU gezielt daran gearbeitet, auch im Berliner

Bereich Profil zu zeigen und in der Zwischenzeit ist jeden Samstag eine Busshuttle-Verbindung zwischen Berlin und Groß-Leuthen eingerichtet. Etabliert hat sich als weiterer tragender Teil des Ausstellungskonzeptes, dass sämtliche teilnehmenden Künstler durch Projektstipendien unterstützt direkt auf den Ort bezogene Arbeiten entwickeln. Sofern die Künstler die zwölf zum See hin gelegenen Räume des Schlosses noch nicht kennen, werden sie Anfang des Jahres zu einer Begehung eingeladen und entwickeln dann für ihren Ausstellungsbereich ihre Bilder, Fotografien oder Installationen. Für regelmäßige Besucher von ROHKUNSTBAU ist es immer wieder spannend, wer im Foyer den Ton setzt, welche Verwandlung das zum See gelegene Musikzimmer durchlaufen hat, wie das Ankleide-Zimmer samt daneben liegendem Bad mit luxuriöser Badewannennische bespielt werden und welche Atmosphäre abschließend das Bibliothekszimmer bestimmt.

Haben einzelne Künstler in den vergangenen Jahren wiederholt auf die Geschichte des Schlosses als Kinderheim reagiert, wird 2005 das Thema „Kinderszenen – Child’s Play“ direkt in den Mittelpunkt der künstlerischen Auseinandersetzung gestellt. Mit der Anspielung auf die berühmten „Kinderszenen“ des 28jährigen Robert Schumann, die der romantische Komponist 1838 keinesfalls für Kinder, sondern für Erwachsene schrieb, wird – als Ausgangspunkt genommen – die Vielschichtigkeit des Themas aufgezeigt.

In Anlehnung an den 13teiligen Zyklus von Schumann werden in Groß-Leuthen 13 künstlerische Positionen vorgestellt. Die Künstler kommen dieses Jahr aus Großbritannien, Norwegen, der Ukraine, China, Kanada, Australien, Frankreich und Deutschland und damit wird auch 2005 wieder ein weiter internationaler Bogen gespannt. Mit Videokunst (B. Melhus), Installationen (V. Lewandowsky), Kinder-Fotografie (S. Bratkov) und Malerei zwischen Blicken auf alltägliche Details

również na terenach berlińskich i w międzyczasie uruchomiono osobotnie połączenie autobusowe między Berlinem a Groß Leuthen. Urzeczywistniono również następną ważną część koncepcji, mianowicie fakt, że wszyscy uczestniczący w projekcie artyści, otrzymując stypendium, tworzą prace bezpośrednio związane z zamkiem w Groß Leuthen. Jeżeli artyści nie znają owych dwunastu sal, położonych na trakcie jeziornym, otrzymują na początku roku zaproszenie na zwiedzenie zamku; później tworzą swe obrazy, zdjęcia lub instalacje zgodnie z własnymi zainteresowaniami. Ludzie regularnie odwiedzający ROHKUNSTBAU zawsze z ciekawością oczekują, kto będzie nadawał ton w foyer, co zmieniło się w pokoju muzycznym na trakcie jeziornym, jak pokazane zostaną garderoba wraz z obok położoną łazienką o wspaniałej niszy waniennej oraz jaka atmosfera panować będzie w końcu w sali bibliotecznej.

W minionych latach niektórzy artyści wciąż bardzo żywo reagowali na historię zamku jako domu dziecka, dlatego też dyskusja artystyczna w roku 2005 koncentruje się na temacie „Sceny dziecięce – Child’s Play”. Nawiązując do sławnych „Scen dziecięcych” dwudziestoosmioletniego Roberta Schumanna, które ten kompozytor okresu romantyzmu napisał w roku 1838 na pewno nie dla dzieci, ale dla dorosłych, wskazano – uważając to za punkt wyjścia – na wielowymiarowość tematu.

W Groß Leuthen wystawionych zostanie w oparciu o trzynastoczęściowy cykl Schumanna trzynaście pozycji artystycznych. W tym roku artyści przybędą z Wielkiej Brytanii, Norwegii, Ukrainy, Chin, Kanady, Australii, Francji i Niemiec i tym samym w roku 2005 zabłyśnie nad zamkiem międzynarodowa tęcza. Puste sale ozdobione zostaną sztuką video (B. Melhus), instalacjami (V. Lewandowsky), fotografiami dziecięcymi (S. Bratkov), malarstwem między detalami życia codzien-

nego (C. Völker) oraz plafonem F. Lijuna. Temat ilustrują wspaniałe trzy pozycje: w osobie Louisy Bourgeois pozyskano jedną z najbardziej renomowanych artystek starszego pokolenia. Jej domeną jest strach przed opuszczeniem. Prowokujące rzeźby dziecięce Jake'a i Dinosa Chapmanów konfrontują z surrealistyczno-koszmarowym światem wyobraźni. Duet artystyczny „//////////fur/////” odkrywa przemoc znanego od wieków teatryku marionetek w automatach do gry wczesnego wieku dwudziestego. Wystawie multimedialnej towarzyszy w weekend kulturalna propozycja festiwalowa, dziś bogatsza niż kiedykolwiek.

ROHKUNSTBAU dzięki swemu wysokiemu poziomowi artystycznemu zdobyła stałe miejsce nie tylko wśród brandenburskich świąt kultury, lecz zyskała również sławę poza granicami tego kraju związkowego. Nic nie odzwierciedla tego lepiej niż fakt, że patronat nad „XII ROHKUNSTBAU” objął prezydent niemieckiego Bundestagu, Wolfgang Thierse.

XII ROHKUNSTBAU: „Sceny dziecięce – Child's Play” w Pałacu na Wodzie w Groß Leuthen / Spreewald (między Lieberose a Märkisch Buchholz)

Wernisaż: 26.06., od 18.00

Wystawa: 26.06. – 28.08: środa – piątek 14.00 – 20.00, sobota – niedziela 10.00 – 20.00

Kino pod gołym niebem: w piątki od 21.00 (wstęp: 6 euro)

Teatr: w soboty od 20.00 (wstęp: 10 euro)

Odczyty: w niedziele od 16.00 (wstęp: 10 euro)

Program w Internecie od początku czerwca pod adresem: www.rohkunstbau.de

Ukaże się dwujęzyczny katalog wystawowy.

Tłumaczenie Bogumiła Husak

(C. Völker) und einem Deckengemälde von F. Lijun werden die gediegenen Räume ausgelotet. Thematisch seien hier beispielhaft drei Positionen vorgestellt: mit Louise Bourgeois konnte eine der renommiertesten Künstlerinnen der älteren Generation gewonnen werden. Sie befasst sich mit der Angst des Verlassen werden. Jake und Dinos Chapmans provokative Kinderskulpturen konfrontieren mit surreal-albtaumartigen Vorstellungswelten. Gewalt im altvertrauten Kasper-Theater hat das Künstlerduo „//////////fur/////” in Spielautomaten des frühen 20. Jahrhunderts entdeckt.

Die multimediale Ausstellung wird an den Wochenenden begleitet von einem kulturellen Festival-Angebot, das heute umfangreicher ist denn je.

Mit seinem niveauvollen Angebot hat sich ROHKUNSTBAU nicht nur unter den Brandenburgischen Kulturfesten einen festen Platz erobert, sondern über die Grenzen von des Bundeslandes hinaus einen Namen gemacht. Nichts spiegelt dies besser als die Tatsache, dass der Präsident des Deutschen Bundestages, Wolfgang Thierse, für 2005 die Schirmherrschaft für den „XII. ROHKUNSTBAU“ übernommen hat.

XII. ROHKUNSTBAU: „Kinderszenen – Child's Play“ im Wasserschloss Groß Leuthen / Spreewald (zwischen Lieberose und Märkisch Buchholz gelegen)

Vernissage: 25.06., ab 18 Uhr

Ausstellung 26.06.-28.08.: Mittwoch – Freitag 14-20 Uhr, Samstag / Sonntag 10 – 20 Uhr

Openair-Kino: jeweils Freitag ab 21 Uhr (Eintritt: 6 €)

Theater: jeweils Samstag ab 20 Uhr (Eintritt: 10 €)

Lesungen: jeweils Sonntag ab 16 Uhr (Eintritt: 10 €)

Programm ab Anfang Juni im Internet unter: www.rohkunstbau.de

Zur Ausstellung erscheint ein zweisprachiger Katalog

erwacht

warmer sorgloser
atem benetzte meine
nase beim zählen
der schwarzen wimpern
küsste ich beinahe
ihr augenlid
sie war schöner
über nacht

przebudzenie

ciepły beztroski
oddech wilgocią
kreśli mój nos kiedy liczę
czarną głębię rzęs
pocałunek niemal dotyka
powieki
wieczorem jeszcze
była piękna

przekład Grzegorz Gorzechowski

Wie wir sitzen

Manchmal sitzt du neben mir,
lehnst deinen Kopf an meine Schulter.
Weit draußen sehen wir Fischerboote.

Manchmal sitzt du hinter mir,
hältst mich in den Armen.
Wir spüren unsere Herzen.

Manchmal, vor unserer Hütte –
legst deine Füße auf meinen Rock.
Wir lauschen dem Wind.

Manchmal sitzt du vor mir,
deine Rastazöpfe kitzeln meine Nase.
Ich streichle dein Gesicht.

Manchmal, mir gegenüber sitzt du,
verführst mich mit den Augen,
weit fort leuchten die Wetter.

Dann, bald, sitzen wir nicht mehr.

Sztuka siadania

Niekiedy siadasz obok mnie,
opierasz głowę o moje barki.
Daleko stąd widać rybackie łodzie

Niekiedy siadasz tuż za mną,
trzymasz mnie w ramionach.
Słysząc czuły szept krążenia

Niekiedy, przed naszą chatką –
kładziesz nogi na mojej spódnicy.
Śledzimy muzykę wiatru.

Niekiedy siadasz przede mną,
twoje włosy łaskoczą moją twarz
dotykam cię pieszczotą.

Niekiedy siadasz naprzeciw,
pozwalasz zapadać mi w tobie
Daleko z przodu błyska się.

a potem, nie siadasz już więcej.

przekład Grzegorz Gorzechowski

Serbołużyckie doświadczenia

Romuald Szura

Z Marią Elikowską-Winkler, Polką z pochodzenia, z wykształcenia germanistką, poliglotką, dyrektorką Szkoły Języka i Kultury Dolnołużyckiej w Chociebużu (Cottbus) rozmawia Romuald Szura.

Zacznijmy od życia prywatnego. Pochodzi Pani z Poznania?

Tak. Pochodzę z poznańskiej rodziny katolickiej i wyniosłam z domu patriotyczne wychowanie. Studiowałam germanistykę na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza. W trakcie studiów przebywałam rok na Uniwersytecie w Oslo doskonaląc język norweski i duński. Po skończeniu studiów pracowałam jako asystent na Uniwersytecie, miałam też otwarty przewód doktorski. Moje prywatne życie zmieniło wcześniejsze plany. Poznałam przyszłego męża, Dietera Winklera, niemieckiego inżyniera-energetyka, wyszłam za mąż i w 1981 roku znalazłam się w Cottbus. Było mi bardzo ciężko, musiałam się przestawić na inną mentalność, kulturę i obyczaje tamtejszych ludzi. Uratowały mnie kontakty z Łużyczanami i przestałam tak bardzo tęsknić za Polską. Podjęłam też pracę w szkole języka dolnołużyckiego. Minęło już 13 lat mojego nauczania.

Proszę opowiedzieć o prowadzonej przez Panią Szkole Języka i Kultury Dolnołużyckiej.

Szkoła nasza od 1992 roku podlega resortowi kultury Urzędu Miasta Chociebuż, gdzie uzyskaliśmy status samodzielnego wydziału Miejskiego Uniwersytetu Ludowego (Volkshochschule). Ludowy charakter należy rozumieć nie w sensie folklorystycznym, a narodowym, etnicznym. Nasza działalność służy pielęgnacji języka i kultury łużyckiej wśród najmłodszych i średniej generacji oraz zachowaniu – mówiąc najogólniej – kultury Serbołużyczan. Program nauczania w szkole jest systematycznie modyfikowany i składa się z: nauki

języka dolnołużyckiego, polskiego, wykładów i seminariów z tematyki europejskiej, z historii i polityki narodowościowej w Niemczech na przestrzeni ostatnich stuleci i obecnie na świecie, wykładów z etnografii, z nazewnictwa łużyckiego, warsztatów malarskich, śpiewaczych, tanecznych, wyszywania i pielęgnacji strojów łużyckich, spotkań obyczajowych (wielkanocnych, gwiazdkowych), przyrządzania typowych oryginalnych potraw, wymiany doświadczeń nauczycieli języków obcych.

„Rečna šula” - jak się ją potocznie nazywa - jest dostępna dla Łużyczan, Niemców i Polaków z pogranicza, niezależnie od ich wieku i wykształcenia. Nauczyciele języka pochodzą z regionu Dolnych Łużyc, głównie Chociebuża i okolic. Wykładowcy przyjeżdżają z różnych miast mających instytuty naukowe lub uczelnie wyższe, np. z Lipska, Poczdamu, Drezna, Budziszyna itd. Ponadto gościmy wykładowców z Belgii, Finlandii i USA.

Tak więc, trochę przypadkowo, język, historia i kultura tego najmniejszego narodu słowiańskiego w Europie, stały się jedną z Pani pasji?

Od lat jeżdżę po wsiach łużyckich, gdzie nawet dzisiaj jeszcze niektórzy ich mieszkańcy mówią dialektami, gdzie na co dzień częściej używają łużyckiego niż niemieckiego. Poznając życie prawdziwych, rdzennych Łużyczan, uczę się ich historii, kultury, zwyczajów, także tych świątecznych, religijnych. Tego nigdzie nie można wyczytać, z żadnych książek. I za to jestem im wdzięczna. Korzystam z tej skarbnicy wiedzy, póki Łużyczanie star-

szego pokolenia żyją, istnieją. Wchłaniam to wszystko, notuję, nagrywam, bo jest to zjawisko niepowtarzalne, ale też przemijające. Tego nie można zobaczyć na filmie. Muszę przyznać, że zapłonęłam miłością do tego niezwykłego narodu. Są podobni do Polaków, z wszystkimi ich zaletami, a nawet wadami: serdeczni, szczerzy, uczciwi, pracowici, chętnie pomagają innym. W swoim gronie nie znają sporów ani zawiści, chociaż może są mniej spontaniczni i wylewni niż Polacy. Nawet język dolnołużycki, w słownictwie i wymowie, jest bardzo zbliżony do polskiego, tak jak język górnołużycki podobny jest do czeskiego.

Myszę, że dużo przyjemności sprawia Pani także bezpośrednia współpraca z polskimi wykładowcami i słuchaczami, którzy zjawiają się w szkole języka dolnołużyckiego.

Bardzo chwałę sobie codzienne kontakty z tymi, którzy przyjeżdżają tutaj na polsko-łużycko-niemieckie warsztaty językowe i kulturowe z Żar, Sieniawy Żarskiej, Lubuska, Trzciela, Łęknicy i Gubina. Korzystając z zaproszenia sąsiadów, nieraz też bywam w szkołach podstawowych i gimnazjach po polskiej stronie Nysy. Są to zazwyczaj łużycko-polskie konferencje. Dotyczą one głównie problemów językowych i kultury na niemiecko-polskim pograniczu. Nieraz zjawiam się także tam, z moim serbołużyckim chórem dziecięcym, w którym śpiewają również polskie dzieci.

A jednak wbrew pozorom, prowadzenie szkoły języka łużyckiego w Niemczech nie jest sprawą łatwą. Wielu niemieckich mieszkańców Łużyc wykazuje nadal niechętny stosunek do słowiańszczyzny na swoim terenie. Nawet wśród urzędników państwowych spotkać można ludzi niezyczliwych. „Po co komu w społeczeństwie niemieckim łużycki język, kultura i obyczaje Wendów” – myślą zapewne przeciwnicy...

Niestety, tak było zawsze. I tak chyba pozostanie. Np. w ostatnim okresie, po kontrolach finansowych w naszej szkole, pojawiły się pogłoski, jakoby niepotrzebne było oddzielne promowanie Dolnych i Górnych Łużyc, że należałoby zlikwidować pewne instytucje łużyckie, żeby zaoszczędzić środki finansowe. Zaszokowały nas te pogłoski, szczególnie teraz po tzw. renesansie, kiedy to język dolnołużycki naprawdę odżył, kiedy pojawiła się chęć i odwaga swobodnego korzystania z tego języka. Nigdzie w Niemczech nie ma podobnej instytucji, jaką jest nasza szkoła, która ma przecież duże znaczenie nie tylko edukacyjne, lecz także kulturalne i polityczne.

Ponadto z moich obserwacji wynika, że ostatnio wzrosła u nas ilość chętnych do nauki języka polskiego. Głównie są to osoby pochodzenia łużyckiego, a także Niemcy, którzy pragną opanować polski, nie tylko ze względów prywatnych, lecz także zawodowych. Szkoła zatrudnia cztery nauczycielki Polki.

Rozumiem, że zależy Pani, żeby niemieccy sąsiedzi poznali nasz język?

Owszem, zależy mi, żeby Niemcy wyjeżdżali do Polski nie tylko po to, ażeby napełnić baki swoich samochodów do pełna tańszą benzyną, albo żeby zrobić drobne zakupy. Zależy mi, żeby poznali historię swoich sąsiadów, bo przecież jest ona mocno spleciona z historią narodu niemieckiego. Wiem, że Niemcy, którzy po raz pierwszy odwiedzili Polskę i nawiązali tam kontakty zupełnie inaczej widzą Polskę i Polaków, niż ci, którzy swoich sąsiadów dotąd nie poznali. Ci, którzy uczą się u nas polskiego, mają większe szanse, żeby poznać z czasem polską kulturę, nasze zwyczaje i obyczaje. Zależy mi, żeby Niemcy nie mówili o Polakach w negatywny sposób, jak to się jeszcze nieraz zdarza.

Są to nasze wspólne życzenia i oby się spełniły, a Pani życzę wytrwałości w działaniu i w pracy pedagogicznej.

Die mit dem „R“ rollen

Rainer Vangermain

„... Sag was Russisches...“, ist der Lieblingssatz aus meiner Lieblingskomödie, „Ein Fisch Namens Wanda“. Ich lag auf dem Sofa und starrte an die Decke und wollte mich inspirieren lassen und sagte diesen Lieblingssatz „... Sag was Russisches...“ vor mich hin, erhob mich langsam vom Sofa in Richtung Fensterbank, wo die Weinflasche vom Vorabend stand und schaute aus dem Fenster auf die Schönhauser Allee.

Da sah ich Vadim Steiniger die Allee entlang schlendern, in seiner U-Bootfahrergjoppe und einer Plastiktüte in der Hand, in der er immer ein Diktiergerät hatte, um auf der Straße, oder in der Kneipe spontan Gespräche anzufangen, meistens mit jungen Mädchen, die er in seiner Muttersprache immer mit „Wot, krasivaja djeutschka“ ansprach, um dann in deutsch fortzufahren und sie zu einem Schwätzchen zu verleiten. Meistens nahm er die Gespräche mit seinem Diktiergerät auf und seine Absicht war, daraus ein Buch zu machen, den Arbeitstitel hatte er schon. Es sollte so heißen, wie die Straße, auf der er immer stundenlang hin-und herschlenderte und Ausschau nach seinen Opfern hielt, Schönhauser Allee.

Ich spuckte kräftig aus dem Fenster und rief aus Leibeskräften, „He, Vadim, du alter Vodkakomsomolze, elender Tschekist und Faschistenfreund, falscher Jude du, Uralinski, alter russischer Zwergbär komm hoch, ich habe Neuigkeiten für dich, vom Verlag“.

Vadim lebte seit einigen Jahren in Berlin. Er stammt von irgendwo hinter Moskau und konnte, weil er sich abwechselnd zu seinem Judentum bekannte und es bei anderer Gelegenheit verleugnete und außerdem einen deutschen Onkel besaß, den er zwang ihn zu adoptieren,

Ci z dźwięcznym „r“

Rainer Vangermain

„... Powiedz coś po rosyjsku ...“ – ulubione zdanie z mojej ulubionej komedii „Rybka zwana Wandą“. Leżałem na kanapie i gapilem się w sufit, szukając inspiracji powtarzałem moje ulubione zdanie „... Powiedz coś po rosyjsku...“, powoli podniosłem się z kanapy ruszając w kierunku parapetu, na którym stała butelka wina z wczorajszego wieczoru, wyjrzałem przez okno na Schönhauserallee¹.

Tam zobaczyłem Vadima Steinigera łąącego po ulicy w kurtce marynarza łodzi podwodnej, trzymającego w ręce reklamówkę, w której zawsze nosił dyktafon, służący mu do spontanicznego nagrywania rozmów, najczęściej z młodymi dziewczętami, które w knajpie i na ulicy zaczęła słowami „Wot, krasiwaja diewuszka“, przechodząc potem na niemiecki i nakłaniając je do ploteczek. Najczęściej nagrywał rozmowy na dyktafon z zamiarem zrobienia z tego książki, miał już roboczy tytuł. Książka miała nosić taki tytuł, jak ulica, po której zawsze łąził godzinami tam i z powrotem wyglądając swoich ofiar, Schönhauserallee.

Splunąłem mocno przez okno i krzyknąłem ile sił w płucach: „Hej Vadim, ty stary wódczany komsomolcu, nędzny czekisto i przyjacielu faszystów, fałszywy Żydzie, ty Uraliński, stary ruski karle, wejdz na górę, mam dla ciebie wieści, z wydawnictwa“.

Od kilku lat Vadim mieszkał w Berlinie. Pochodził gdzieś tam zza Moskwy i udało mu się wyjechać w latach dziewięćdziesiątych do Niemiec, to przyznając się do swego żydowskiego pochodzenia, to mu zaprzeczając, poza tym posiadając

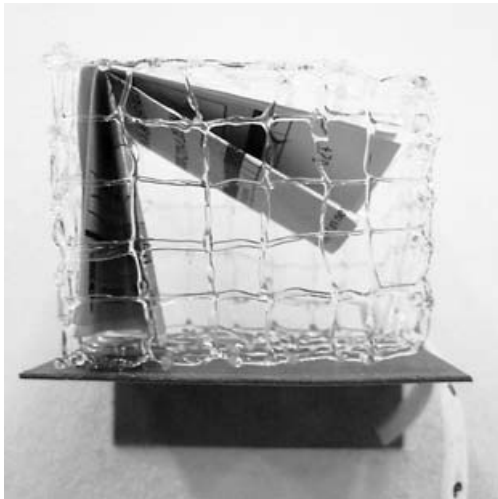
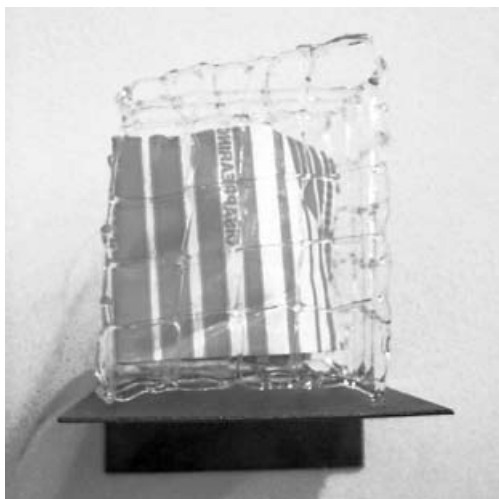
¹ Jedna z większych ulic Berlina (przyj. tłum.).

niemieckiego wujka, którego szantażem zmusił do adopcji, wiedząc o rzeczach, które mogłyby skompromitować go w miejscu pracy. Jego własny ojciec zginął w czasie manewrów rakietowych w stepach Kazachstanu, gdzie był oficerem dowodzącym. Były w nim sprzeczności: niemieckie pokrewieństwo pierwszego stopnia i pochodzenie żydowskie, bilet na stary kontynent, który Vadim sam sobie wystawił. Kochałem tego faceta; poznałem go, bo tak chciał los. Przed dwoma laty w starym domu na bagnach nadodrzańskich, dokąd uciekałem wówczas, gdy duże miasto wywoływało u mnie blokadę twórczą i nie mogłem pracować, przypadkowo przenocowałem u siebie pewnego mężczyznę.

Nocy pewnej ktoś zapukał do domu, w którym jak zwykle światło paliło się jeszcze długo po północy. Otworzyłem drzwi, przede mną stanął ranny i prawdopodobnie wyczerpany długim marszem, w zasadzie jeszcze młody człowiek. Był mokry, brudny i zmęczony, niezłą niemieczyzną z rosyjskim akcentem jeszcze uprzejmie i spokojnie poprosił o pomoc. Przez moment poczułem się niepewnie i przez ułamek sekundy poczułem obawę nadużycia mej gościnności. Nie mogłem zapobiec nieoczekiwanej wizycie, stało

weil er kompromittierende Dinge aus dessen Berufsleben wußte und sein eigener Vater bei einem Raketenmanöver in der Steppe von Kasachstan, wo er kommandierender Offizier war, ums Leben gekommen war, in den neunziger Jahren nach Deutschland ausreisen. Deutsche Verwandtschaft ersten Grades und Jude, die Fahrkarte für den alten Kontinent, die sich Vadim selber gedruckt hatte. Ich liebte diesen Kerl und war durch eine Schicksalbegegnung mit ihm bekannt geworden. Vor zwei Jahren beherbergte ich zufälligerweise einen Menschen in einem alten Haus im Oderbruch, wohin ich mich manchmal zurückzog, wenn die Großstadt in mir wiedereinander eine Schreibblockade auslöste und ich nicht arbeiten konnte.

Eines Nachts klopfte es ans Haus, in dem immer bis weit nach Mitternacht Licht brannte. Ich öffnete und vor mir stand ein lädiertes und wahrscheinlich durch einen langen Marsch ramponiertes, man konnte noch sagen, junger Mann. Er war naß, schmutzig und erschöpft, konnte aber in passablem Deutsch mit russischem Akzent, freundlich und ruhig um Hilfe bitten. Ich war einen Moment lang unsicher und spielte in Sekundenschnelle alle möglichen Varianten eines Mißbrauchs meiner Hilfsbereitschaft durch. Die



Begegnung konnte ich nicht mehr verhindern, sie hatte stattgefunden. Um mir ein Leids anzutun, brauchte er ein Motiv. Wenn ich ihm gab was er brauchte, nämlich Hilfe, hatte er keinen Grund mir etwas zu tun, ich mußte nur sicher und angstfrei auftreten. Ich schaute auf seinen rechten Arm. Er hing schlaff und etwas verdreht an ihm herunter. Wahrscheinlich war er gebrochen, was konnte er mir schon tun?

Ich half ihm also, verarztete ihn und erkannte seinen gebrochenen Unterarm. Für mein abgebrochenes Medizinstudium war ich doch noch ein ganz brauchbarer Sanitäter. Ich konnte ein paar Brocken Russisch, weil ich einmal eine Spezialschule besuchte, das meiste jedoch vergessen hatte, aber für ein bißchen Konversation reichte es noch. Er faßte Vertrauen und war sicherlich kein Berufsverbrecher, sondern hatte etwas Aufwendiges hinter sich gebracht und war fürchterlich in Bedrängnis geraten.

Er nannte mir seinen Namen, Nikolai Steiniger, und behauptete, er sei Kunstwissenschaftler.

Am nächsten Morgen nahm ich ihn in meinem Auto mit nach Berlin, denn da wollte er hin und unser gemeinsamer Weg hatte sich zufällig ergeben. Irgendwo am Stadtrand setzte ich ihn ab. Er bedankte sich überschwenglich und versprach sich zu melden, um sich zu revanchieren und bat um meine Telefonnummer. Ich gab ihm meine Handynummer. Mein Handyvertrag lief in der nächsten Woche aus und so hoffte ich meine Spur zu verwischen.

Vierzehn Tage später gab es in der Auguststraße die Eröffnung einer Ausstellung „Russische Ikonen und moderne Malerei“. Ich hatte eine Einladung bekommen, wollte aber erst nicht hingehen, besann mich dann aber eines Besseren und dachte, zu diesen Eröffnungen kommen immer allerhand Leute, es gibt einen Schluck zu trinken und einen Happen zu essen und man kann Kontakte knüpfen, vielleicht ergibt sich etwas, vielleicht kann ich über die Ausstellung schreiben.

sie. Musiałby mieć powód, by zrobić mi krzywdę. Taki powód nie istniał, dałem mi bowiem to, czego potrzebował, mianowicie udzieliłem pomocy. Staralem się tylko wykazać pewność siebie i nie okazywać strachu. Popatrzyłem na jego prawą rękę. Zwisiała bezwładnie lekko okręcona wokół ciała. Prawdopodobnie była złamana, coż więc mógł mi zrobić?

Pomogłem mu więc, podkurowałem i zaopatrzyłem złamaną rękę. Mimo przerwanych studiów medycznych byłem jeszcze całkiem niezłym sanitariuszem. Znałem kilka słów i zwrotów w języku rosyjskim, kiedyś bowiem uczyłem się tego języka w pewnej szkole, większości zwrotów jednak zapomniałem, ale to, co pamiętałem, wystarczało, by trochę porozmawiać. Człowiek ów budził zaufanie i z pewnością nie był zawodowym przestępcą, lecz przeżył coś dramatycznego i wpadł w straszne tarapaty.

Przedstawił się jako Nikołaj Steiniger twierdząc, że jest historykiem sztuki.

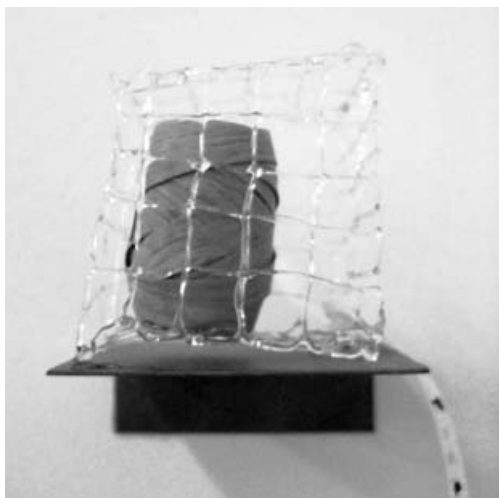
Następnego ranka zabrałem go samochodem do Berlina, bo tam właśnie chciałem jechać, podróż ta dopełniała naszego przypadkowego spotkania. Wysadziłem go gdzieś tam na obrzeżach miasta. Podziękował przesadnie gorąco, obiecując zgłosić się do mnie z rewanżem poprosił o mój numer telefonu. Dałem mu numer na komórkę. Umowa z operatorem wygasła w następnym tygodniu, stąd miałem nadzieję, że w ten sposób zatrę za sobą ślady.

Czternaście dni później na ulicy Augusta odbywało się otwarcie wystawy „Ikony i współczesne malarstwo rosyjskie“. Otrzymałem zaproszenie, najpierw nie miałem ochoty pójść tam, potem wszystko przemyślałem i doszedłem do wniosku, że na takie imprezy przychodzą zawsze najróżniejsi ludzie, można tam coś wypić i zjeść, można też nawiązać kontakty, z których być może coś wyniknie, miałem nadzieję napisać coś o wystawie.

Zupełnie nieoczekiwanie spotkałem tu ponownie Nikołaja, który ucieszył się

bardzo na mój widok i równocześnie poskarżył, że nie mógł się ze mną skontaktować. Dałem mu mój nowy numer telefonu z nadzieją, że nie wchodzę w kontakt z przedstawicielem kryminalnej odnogi gminy rosyjskiej, ale z epigonem jej kultury. Nikolai przedstawił mi młodego mężczyznę, swego brata, Vadima Steinigera. Vadim był człowiekiem żądnym pisania i działania. Udało mu się już wydać dwa cieniutkie tomiki ze śmiesznymi historyjkami ze starego Związku Radzieckiego. Znałem oba tomiki, pobieżnie przerzuciłem je w mojej księgarni i uważałem je za tendencyjną i zbyt lekką strawę duchową. Aż do dziś nie znałem Vadima osobiście. Pisał po niemiecku, chociaż nie potrafił mówić w tym języku. W jego wymowie słyhać było bardzo wyraźny akcent i bardzo dźwięczne „r”. Pisał jak przedszkolak, jego nauczyciel, pochodzący ze Schwarzwald, być może uważał to za komiczne, tym bardziej, że sam zdobywał wykształcenie w szwajcarskiej szkole z internatem, gdzie nie znano dykcji tego rodzaju, w czym upatrywał szansy na rynku księgarskim. Dla mnie był to styl „Pionierskiej Prawdy” i komizmu satyrycznego pisma „Krokodil”, oba czasopisma krótko abonowałem jako uczeń, przebrzmiały historie i mój

Hier traf ich ganz unerwartet Nikolai wieder, der hoch erfreut war mich zusehen und zugleich beklagte, das er mich nicht erreichen konnte. Ich gab ihm meine neue Telefonnummer, nun in der Hoffnung, nicht zum kriminellen Zweig der russischen Gemeinde Kontakt zu bekommen, sondern zu ihren kulturellen Ausläufern. Er stellte mir einen jungen Mann vor, seinen Bruder, Vadim Steiniger. Vadim war ein schreibwütiger und auch geschäftstüchtiger Mensch. Er hatte bereits zwei schmale Bändchen mit komischen Geschichten aus der alten Sowjetunion veröffentlicht und damit Erfolg gehabt. Ich kannte die beiden Bändchen und hatte sie in meiner Buchhandlung kurz angelesen und sie für tendenziös und zu leichte Kost befunden. Vadim persönlich kannte ich bis dahin nicht. Er schrieb in Deutsch, obwohl er die Sprache mündlich nicht beherrschte. Er sprach mit starkem Akzent und rollte das „R” sehr. Er schrieb in einer Art Kindergartendeutsch, die sein Lektor, der aus dem Schwarzwald stammte, vielleicht für komisch hielt, weil er seine Ausbildung auf einem Schweizer Internat erhalten hatte, wo diese Art Diktion nicht vorkam und er ihr nun auf dem Buchmarkt ein Art Chance ausrechnete. Für mich waren dieser „Pionerskaja Prawda” -Stil und die Komik der



Satirezeitschrift „Krokodil“, beide Zeitungen hatte ich als Schüler kurze Zeit abonniert, olle Kamellen und mein Lachen über den komischen Stil und die Plots in Vadims Geschichten, hielten sich in Grenzen.

Innerlich sagte ich mir – „Witz schwill an, das ich drüber lachen kann“. Vadim schenkte ich reinen Wein ein und sagte ihm genau das. Er war kurz verwundert, sah mich lange an und sagte dann mit starkem Akzent, - „du hast mich durchschaut mein Freund, aber macht nix, es verkauft sich gut“. Was willst du trinken, du hast Nikolai aus einer großen Bedrängnis geholfen, ohne dich wäre sein rechter Arm jetzt hinüber. Ihm gehören die hier ausgestellten Ikonen. Er erhofft sich ein gutes Geschäft. Ich soll dir sagen, du kannst dir eine aussuchen, als Dankeschön für deine Hilfsbereitschaft.

Ich brauchte nicht lange zu überlegen, ich nahm die Ikone „Gottesmutter von Kasan“, spätes 17. Jahrhundert, die Arbeit eines Mönches aus den Ikonenwerkstätten des Nowo Djewetschi Klosters bei Moskau, eines Schülers von Andrije Rubljow. Meine Kenntnisse der religiösen Malerei waren bescheiden, aber mir gefielen der naive Darstellungsstil, das Plakative und doch Künstlerische, Handwerkliche der Ausführung, die erdigen Farben, die sich durch die Patina, die auf dem alten Stück lag, ergaben.

Ich wollte die Ikone als Drohgötzen einsetzen, sie über mein Laptop hängen und sie gemahnen lassen, mich der kleinen Erschafft würdig zu erweisen, von der ich in der letzten Zeit lebte und die ich meiner Mutter verdankte, die mich in ihrem Testament, gegenüber meinen Geschwistern, überproportional bedachte, mit der für alle irritierenden Begründung: „Rüder darf nie Not leiden, ihr anderen seid vom Schicksal begünstigt worden, Angela hat ihre Arztpraxis, Jo den kleinen Baubetrieb und Arne ist in der Politik, aber Rüder euer ältester Bruder hat, „... für euch hat er den Schwindsuchtspeichel aufgeleckt mit der rauhen Zunge der Plakate...“. Niemand aus der Erbgemeinschaft ver-

üsmieszek nad komicznym stylem i akcją w historiach Vadima, trzymały się w normie.

Powiedziałem sobie: „Żartuj tak, abyś mógł sam się z tego śmiać“. Nalałem Vadimowi wina i powtórzyłem mu dokładnie to samo. Zdziwił się trochę i przyglądając mi się dłuższą chwilę powiedział z silnym akcentem: „przejrzałeś mnie przyjacielu, ale to nic, to się dobrze sprzeda“. Czego chcesz się napić, pomogłeś Nikołajowi wybrnąć z ogromnych kłopotów, bez ciebie nie miałby już prawej ręki. To do niego należą wystawione tu ikony. Ma nadzieję na dobry interes. Mam ci przekazać, że w podziękowaniu za wyświadczoną mu pomoc możesz sobie wybrać jedną ikonę.

Nie musiałem się długo zastanawiać, wziąłem ikonę „Matki Boskiej Kazańskiej“, późny wiek siedemnasty, praca mnicha z pracowni ikon w klasztorze Nowo Djewetschi pod Moskwą, ucznia Andrieja Rublowa. Moja znajomość malarstwa religijnego była znikoma, ale podobał mi się naiwny styl, coś z plakatu a jednak był w tym artyzm, mistrzostwo wykonania, barwy ziemi wyłaniające się z patyny pokrywającej stare dzieło.

Chciałem, by ikona stała się moim fetyszem, pragnąłem powiesić ją nad moim laptopem, by przypominała mi, że godzien jestem radości z tej niewielkiej twórczości, z której żyłem w ostatnim czasie, zawdzięczając to mojej matce, która w stosunku do mego rodzeństwa obdarowała mnie w testamentie zbyt szczerze, na dodatek z irytującym wszystkim uzasadnieniem: „Rüder nigdy nie może cierpieć biedy, wy wszyscy zostaliście obdarowani przez los, Angela ma swą praktykę lekarską, Jo mały zakład budowlany i Arne pracuje w poliklinice, a Rüder, wasz najstarszy brat (...) zlizywał za was suchotniczą ślinę szorstkim językiem plakatów...“ . Żaden ze spadkobierców nie zrozumiał tego lub nie znał tego cytatu, poza mną. Ale testament był ważny.

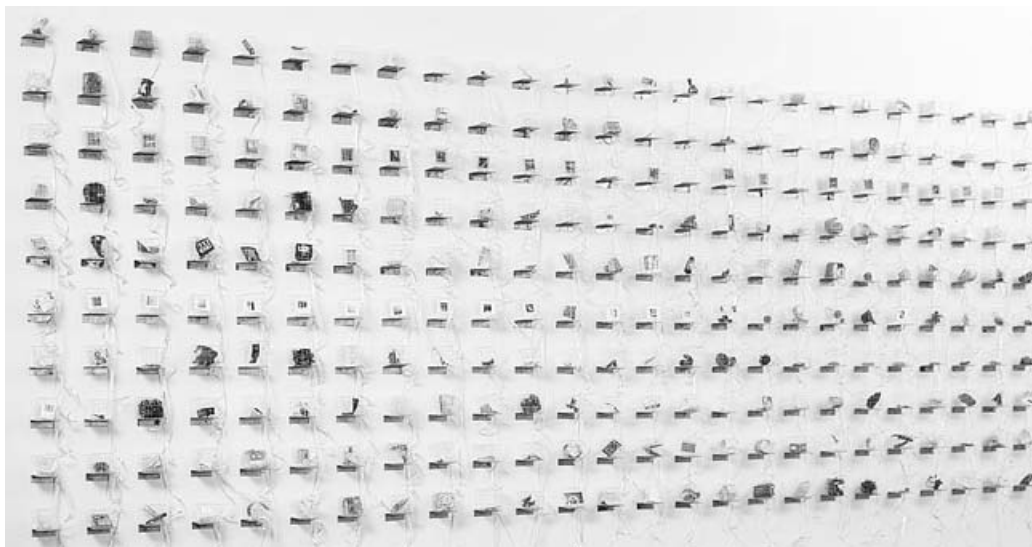
Gdy Vadim Steiniger wkroczył do mego pokoju przy Schönhauserallee,

„Matka Boska Kazańska” wisała nad moim biurkiem od trzech dni. Dziennie w tym czasie osiągnąłem szybkość pisania od jednej do dwóch stron A4 mojej powieści dziennie. W rzeczy samej miałem dla Vadima wiadomości z wydawnictwa, wprawdzie jeszcze nie oficjalne, ale jednak przekazane przez jednego z asystentów, którego dobrze znałem z grupy terapeutycznej anonimowych alkoholików. Odrzucono tytuł ostatniego tomiku opowiadań Vadima „Schönhauser Allee”. Taki tytuł był już na rynku, nosił go starszy tomik opowiadań z czasów NRD, który postanowiono wznowić na następne targi. Oczywiście, że tego nie mogli wiedzieć ani Vadim ani jego nauczyciel języka ze Schwarzwald. Wydawało się, że na Vadimie nie zrobiło to większego wrażenia. Powiedział, no tak, aha, nic się nie stało, w takim razie zatytułuję go „Kastanienallee” (Aleja Kasztanowa). Mieszkaś tu już tak długo, był już tomik opowiadań pod tytułem „Kastanienallee”? Odpowiedziałem, że według mojej wiedzy nie, ale pewien nie jestem. No, widzisz, zatytułuję mój nowy tomik „Kastanienallee”. Pogrzebał w swej reklamówce, wyjął dyktafon i powiedział: posłuchaj, słuszej. Tę rozmowę odbyłem właśnie z krasiwą dziewczynką w kawiarni „Schwarz-Sauer” na Kastanienallee i wcisnął guzik „play”.

Tłumaczenie Bogumiła Husak

stand das, oder kannte das Zitat, außer ich selbst. Aber das Testament galt.

Die „Gottesmutter von Kasan” hing seit drei Tagen über meinem Schreibtisch, als Vadim Steiniger mein Zimmer in der Schönhauser Allee betrat. Ich war inzwischen bei einer Schreibfrequenz von ein bis zwei A4 Seiten pro Tag für meinen kleinen Roman, angelangt. Ich hatte für Vadim wirklich eine Nachricht aus seinem Verlag, wenn auch noch nicht offiziell, so aber doch verbürgt durch einen Verlagsassistenten, den ich gut aus der Therapiegruppe der anonymen Alkoholiker kannte. Der Titel für Vadims letzten Erzählband „Schönhauser Allee” sei abgelehnt worden. Den Titel gebe es schon auf dem Markt, ein älterer DDR-Erzählband hieß so und zur nächsten Messe sollte er neu verlegt werden. Das konnten natürlich Vadim und sein Lektor aus dem Schwarzwald nicht wissen. Aber Vadim schien das wenig zu beeindrucken. Er sagte, ... na, und, nicht so schlimm, da nenn ich ihn eben „Kastanienallee”. Du lebst doch schon lange genug hier, gab es schon mal ein Erzählungsband mit dem Titel „Kastanienallee”? Ich sagte, meines Wissens nein, aber sicher bin ich nicht. Na, siehst du, ich nenne meinen neuen Erzählband, „Kastanienallee”. Er kramte in seiner Plastiktüte herum und holte das Diktiergerät heraus und sagte, hör mal zu, sluschai. Dieses Gespräch habe ich gerade mit einem krasivaja dje-vutschka im Café „Schwarz-Sauer”, in der Kastanienallee geführt und er drückte auf die Wiedergabetaste.



Mówiące kamienie

Edward Derylak

Siedzieli przy stole, gdy głośno skrzypiąc, uchyliły się drzwi. Chłopiec przekroczył niski próg i stanął zaraz przy wejściu, nieśmiało, jakby się wstydził. Bywał tutaj często, czasami, co drugi dzień; czuł się jak u siebie w domu. Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę, a on stał nieruchomo przy drzwiach ze wzrokiem spuszczone w dół; garść jasnych jak len, prostych włosów zakrywała mu prawe oko; pochylił się nieco do przodu, jakby dźwigał ciężar życiowych doświadczeń, a on przecież będzie je dopiero gromadził. Powoli podniósł głowę, odstąpił chudą szyję i spojrzął nie swoim, smutnym wzrokiem. W zapadłych oczach czaił się zwyczajny, dziecięcy jeszcze, lęk. Z trudem pokonał ucisk w gardle, dwa razy przełknął ślinę tak, że było to słyhać aż przy stole pod oknem dużej kuchni, i dławionym przez wewnętrzny skurcz głosem cicho powiedział:

– Przeszedłem się pożegnać.

Słowa w chłopięcych ustach zabrzmiały żałośnie. Nowaczyński odłożył trzymany w rękę chleb, jego żona Maria zatrzymała w połowie drogi do ust kubek z kawą; Józek ze zgrzytem odsunął od stołu krzesło i zbliżył się do Willi'ego; tylko mały Rysio jadł spokojnie jakby nic się nie wydarzyło.

Ojciec Józka wstał i podszedł do okna. Na chodniku, przed kamienicą, stała rodzina Neugebauerów, a obok nich piętrzyły się bagaże: wypełniony różnym sprzętem, niebieski, dziecienny wózek, dwie przewiązane wpół walizki, nabrzmiały, bo wypełniony do granic możliwości brezentowy, szary worek oraz kilka mniejszych toreb i pakunków; troje, małych jeszcze, dzieci szarpało się między sobą – były beztroskie i niecierpliwe. Z sąsiednich kamienic wyszli inni. Stała już rodzina Krugerów, Wolfów i Schmidów – wszyscy z bagażami; tylko samotny, przygarbiony stary Hans Backer stał z jedną, niewielką walizką. Chodnik w oczach gęstniał od ludzi.

Helmut Neugebauer odwrócił się, ogarnął wzrokiem okna na pierwszym piętrze i ujrzał wpatzonego w siebie Nowaczyńskiego; w niemym geście pożegnania jego ręka zawisła przez chwilę w powietrzu, i powoli opadła. Jan odwzajemnił pozdrowienie, i stał przy oknie z pochyloną głową, patrząc w dół: miał przed oczami wysoką, przykrytą czapką gęstych, falujących włosów, sylwetkę sąsiada. Helmut odwrócił głowę, coś mówił do żony Helgi, czego Jan nie mógł usłyszeć, nie mógł też zobaczyć jej twarzy, skrytej w cieniu szerokiego ronda brązowego kapelusza.

Willi i Józek patrzyli na siebie nieruchomymi oczami; żaden się nie odzywał. Cisza zawisła nad głowami. Słyhać było tylko uderzenia łyżeczki o ścianki metalowego kubka. Nowaczyński wrócił do stołu. Willi, pokonując wewnętrzny skurcz gardła, wydusił z siebie szeptem:

– Ja... napiszę... do ciebie... będę pisał – po czym spuścił głowę i nieśmiało wysunął do przodu rękę. Józek zrobił to samo.

Dwie małe, delikatne, chłopięce jeszcze dłonie zamknęły się w męskim uścisku. Trwali przez chwilę tak złączeni, potem Willi nieśmiało, jakby się wstydził, wysunął w milczeniu swoją dłoń, powoli, na pięcie się odwrócił, zrobił krok i zniknął za drzwiami. Słyhać było jeszcze tupot butów po drewnianych schodach i uderzenie ciężkich drzwi na parterze.

Józek, jak przed chwilą ojciec, podszedł do okna, odsunął firankę i spojrzął wzdłuż ulicy. Przed Neugebauerami szli, pchając przed sobą dziecięce wózki, dźwigając ogromne bagaże, inni mieszkańcy z ulicy Brackiej. Willi szedł z prawej strony ojca, młodsze rodzeństwo przy matce, odwrócił się, podniósł wysoko rękę i pomachał – domyślał się, że przyjaciel widzi go z okna. Zanim wszyscy zniknęli u wylotu ulicy, odwrócił się raz jeszcze i znów pomachał ręką.

Józek patrzył przez okno nieruchomymi oczami niewiele z tego rozumiejąc; dwie łzy przetoczyły się po bladych policzkach i miękko spadły w czarną ziemię doniczek.

Kolorowy motyl zawisł na białej firanie, opadł w dół, zatrzymał się na liściu krotona, stopił z jego kolorami, po czym znów lekko, jak baletnica, poszybował pod sufit. W ciszy, wypełniającej po brzegi duży, pełen ciężkich starych mebli pokój, słychać było delikatny ruch jego skrzydeł.

Cieszy się życiem jakby był żółwiem, a jest tylko pięknym motylem – Helga patrząc na owada myślała o długim, a krótkim jednocześnie życiu Helmuta. Wydawało się jej, że trwało ono tyle, ile życie motyla – od opuszczenia kokonu i przeobrażenia się z poczwarki w pięknego owada.

Maria podeszła z tyłu i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Może chcesz zostać sama? – zapytała głosem wypełnionym współczuciem.

Helga otrząsnęła się z myśli; jej bladą, nieobecną twarz, rozjaśnił uśmiech. Była wdzięczna za okazaną troskę. Czowała życzliwość ludzi, która nie zmurszała, jak wiele drzew, przez lata.

– Nie... skądże – zapewniła skwapliwie.

Jan poruszył się w fotelu, sięgnął do kieszeni po papierosy. Lekarz zabronił mu palić, ale on niewiele sobie z tych zakazów robił. Wykorzystywał dzisiejszą sytuację, obecność innych ludzi, żeby zapalić nie narażając się na protesty żony.

Przysunął fotel w stronę otwartych na balkon drzwi, usadowił się wygodnie i w milczeniu puszczał przed siebie niebieskie kółka.

– Może zrobię kawę? – powiedziała Maria i wyszła do kuchni. Po chwili dochodziły stamtąd odgłosy stukania porcelany.

Helga Neugebauer dopiero teraz odczuła zmęczenie: spływało z jej ramion, przez tułów do nóg, których nawet nie czuła. Obrazy z przeszłości, i te współczesne, podążały zaraz za myślami i rozbijały się o jej pamięć. Ludzie oraz znane, ale zapomniane już miejsca, nagle ożyły. Dzwony ciągle biły, biły...; ich dźwięki poruszały liśćmi ogromnych drzew..., których się nie przesadza. Czowała otępienie jak po spożyciu środków uspokajających.

– To już tyle lat Janku... – odezwała się. – A wydaje mi się jakby to było wczoraj. W drugim człowieku jest coś takiego – Helga tłumaczyła męża – co żyje razem z nim, ale się nie starzeje. Marzenia wiecznie są młode; a jeszcze te pielęgnowane przez lata, w szczególności. Na początku było ciężko – spojrzęła na Janka. – Jak każdemu – dodała po chwili zawstydzona. – Wam przecież też, bardziej niż nam.

– Dziwię się, że Helmut nie mógł zapomnieć... – cicho powiedział Nowaczyński. – Przecież tyle lat już tam mieszkał, miał dobrze...

Helga podeszła do okna. Jej drobna postać wyglądała jak czarny motyl uczepiony białej firany. Spojrzała na zewnątrz. To już nie ta sama Bruderstrasse, pomyślała, i szybko odwróciła głowę. Twarz jej zdradzała niewątpliwą urodę pod śladami czasu.

– Janek, to nie tak – odezwała się spokojnym głosem. – On musiał cały czas o tym myśleć, chociaż mi nic nie mówił. Długo chorował na serce – Helga zamilkła, spojrzęła w okno, jakby chciała coś sobie przypomnieć. – To było jakieś piętnaście lat temu – zaczęła znowu. – Siedziałam przy łóżku w szpitalu i patrzyłam na jego wtuloną

w poduszkę twarz. Wzrok zawiesił gdzieś pod sufitem. Wiedział, że patrzę na niego; nie odwracając się do mnie, powiedział spokojnym, pewnym głosem: „Gdy mnie już nie będzie, to pochowasz mnie tam gdzie się urodziłem”. Przeszedł mnie wtedy, w tej białej szpitalnej sali, zimny dreszcz.

Nowaczyński siedział jak zahipnotyzowany wsłuchując się w jej słowa.

„Co ty wygadujesz?!” – powiedziała od razu. – Dalsze słowa wzięły mi w gardle. On się odwrócił i patrzył na mnie nieobecnymi oczami. Po chwili mówił dalej: „Tam się poznaliśmy, pobraliśmy, tam urodziły się nasze dzieci...”. Mówiłam, żeby przestał. Nie mogłam tego słuchać. Myślałam, że się rozplacę. Westchnął ciężko jakby zrzucił z siebie ciężar jakiś, spojrzął na mnie i mówił dalej. „Wszystko, co najważniejsze w naszym życiu miało miejsce tam...” – zamilkł nagle.

Do pokoju weszła Maria z kawą na tacy, zatrzymała się, spojrzała na stojącą Helgę i siedzącego w fotelu męża.

– To tak traktujesz gości? – powiedziała uśmiechając się do męża.

Jan, jakby dopiero teraz uświadomił sobie ów fakt, szybko poderwał się z fotela, w zażenowaniu zaczął podkręcać wąsa; czuł się jak sztubak przytępiany na paleniu papierosów. Helga pospieszyła mu z pomocą.

– Przecież nic się nie stało – powiedziała i spojrzała na Marię. – Przeszłam się trochę po pokoju; nawet nie pomyślałam żeby usiąść.

Maria postawiła filiżanki na ławie i westchnęła z ulgą, jakby się pozbyła ciężkiego bagażu. Poprawiła jeszcze obrus, który tego nie wymagał, spojrzała na przyjaciółkę sprzed lat i powiedziała:

– To ja też posłucham.

Helga znów wróciła do wspomnień.

– Pamiętam, że to Helmut ciągle mnie namawiał żeby przyjechać... zobaczyć jak to teraz wygląda... jak u was jest – opowiadała. – Byłam temu przeciwna, bo, po co rozdrapywać zagojone rany. Pierwszy raz wybraliśmy się pod koniec lat sześćdziesiątych. Nie wiem dokładnie, kiedy to było – zamyśliła się, wzrokiem odplynęła w bok. – Może lato sześćdziesiątego piątego... albo szóstego... – zresztą to nie istotne. – Wtedy nasze kamieniczki przy Brackiej były już wyburzone – skurcz przemknął jej po twarzy. – Pozostały tylko resztki gruzu. Helmut zrobił trochę zdjęć, potem poszliśmy w stronę mostu, tą samą drogą jak wtedy. Nie odzywał się; szliśmy obok siebie jak obcy ludzie. Fotografował kamieniczki. W pewnej chwili spojrzął na mnie i powiedział: „Gdy przyjedziemy następnym razem, może ich już nie będzie”. Potem poszliśmy na cmentarz. Tam odczytywał kolejne napisy na naszych pomnikach, krzyżach. Część grobów była zniszczona, kawałki płyt nagrobnych leżały pod płotem. Poszedł i tam. Pochylił się, potem ukląkł na jedno kolano, wziął do ręki jakiś patyk i zeskrobywał piasek i mech porosły we wgłębieniach liter; przesuwiał po nich palcem, składał litery i był zadowolony, gdy mu się to udało. Odwracał się wtedy do mnie z wyrazem satysfakcji na twarzy, i wymieniał odczytane nazwiska. Potem grzebał dalej, a ja siedziałam na ławce nieopodal. Przyjeżdżaliśmy, co kilka lat. Przedostatnim razem was spotkaliśmy. To wtedy wykupił miejsce.

Powietrze dookoła nasączone było przeszłością, która tkwiła w nich wszystkich jak pocisk po postrzale – można z nim żyć, tylko czasami boleśnie przypomina o sobie. Siedzieli w milczeniu. Nowaczyński wstał i wyszedł na balkon, z którego widział teren budowy. Przylegający do tyłu kamieniczek plac szczelnie otaczały płaty ocynkowanej blachy. Błękit pokrywały pierzaste cumulusy; z ulicy dobiegał szum samochodów. Usiadł ciężko na krześle, wzrok zaczął niedbale o przeszkloną wystawę, w której błyszcząca biała glazura wanien i umywalk; na chodniku, ustawione piętrowo na stelażu, skrzyły

kolorami bratki. On jednak widział brudny tynk ocalałej kamienicy, ciężką brązową bramę pod numerem dwunastym, i ludzi wyrwanych z mieszkań, od swoich zajęć, wśród sterty bagaży; nad nimi nienaturalnie górowała podniesiona w pozdrowieniu ręka Helmuta. Obrazy mieszały się, przestawiały; odgrzebane z pamięci zastępowały te widziane oczami. Tamten spacer przez miasto przed dwoma laty.

Mijali kolejne ulice: Długa, Bracka, Szprotawska, Żelazna. Jesienne słońce przyjemnie ogrzewało plecy. Helmut z zainteresowaniem rozglądał się dookoła; od czasu do czasu przystawał, jakby sobie coś przypominał, zawieszał wzrok na mieniących się pastelowymi kolorami rozłożystych koronach drzew, to znów na czerwonych dachówkach kolejnych budynków. Rozmawiali mało; o wszystkim i niczym zarazem.

– A pamiętasz? – zapytał nagle.

Jan poczuł się jak wywołany do tablicy, nie mając odrobionej lekcji. Nie wiedział co przyjaciel ma na myśli. A on, nie czekając na potwierdzenie ani zaprzeczenie, wyciągniętą przed siebie ręką wskazywał miejsca, gdzie stały małe kamieniczki, wymieniał nazwiska i imiona znajomych, którzy w nich mieszkali, przypominał okruczny zdarzeń. Patrząc na niego zrozumiął, że Helmut idzie Lange Strasse, Ludwigsplatz, Sprottauer Strasse, które istniały już tylko w jego pamięci. Ani czas, ani ogień, ani lemiesz buldożerów nie miały do nich dostępu.

– Może ich już więcej nie zobaczę? – powiedział pod koniec wędrówki.

Schodząc ze schodów na parter Helga spojrzała, co nie uszło uwadze Jana i Marii Nowaczyńskich, na masywne, drewniane drzwi pod jedyneką. Drewna można się tylko było domyślać, pod wieloma warstwami olejnej farby. Nie ona jednak – ta farba – ani ukryte pod nią drewno przykuły jej uwagę, lecz szczelina na listy otoczona kształtnym mosiądzem i wrytym w nim wyrazie „Brief”.

– Jeszcze można znaleźć nasze ślady – powiedziała, a jej słowa utknęły w chłodnym, ciemnym korytarzu.

Codziennie przechodzę obok tych drzwi, czasami po kilka razy, i nie zwróciłem uwagi na ten szczegół – pomyślał Jan.

– Litery wryte w metalu i tych kamieniach, które ocalały, pozostaną świadkami naszej tutaj obecności. – Helga snuła jeszcze swoje refleksje.

– Coraz mniej już tych świadków, którzy pamiętają. Czas nie stoi w miejscu, niestety. – Jan z zadumą pokiwał głową

Na deptaku otoczyło ich gorące powietrze, a słońce oślepiło swoim blaskiem. Szary samochód z niemieckimi numerami rejestracyjnymi stał na placu przy fontannie.

III nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. E. Paukszty pt. „Małe Ojczyzny” Kargowa 2004.